

*Marek Bieńczyk*

Instytut Badań Literackich PAN  
<https://orcid.org/0000-0002-9411-8389>  
marek.bienczyk@ibl.waw.pl

## Parę uwag wokół *Ceny* Anny Bikont

### Streszczenie

Rozważania autora nie są recenzją *sensu stricto* książki Anny Bikont *Cena*, lecz wykorzystują tę lekturę do refleksji nad kwestiami, które ona wywołuje. Czym jest dla ocalałych imię własne? Czym jest ucieczka ocalałych z Polski powojennej nie tylko z historycznego, lecz również filozoficznego punktu widzenia? Jak rozumieć pojęcie wdzięczności wobec tych, którzy nieśli pomoc żydowskim dzieciom podczas wojny i po wojnie? Jaki jest status świadectwa? Jak łączy się pamięć z wyobraźnią, kiedy mówimy i piszemy o Zagładzie?

### Słowa kluczowe

Zagłada, dzieci, ocalenie, ucieczka, imię własne, wdzięczność, pamięć, wyobraźnia, plemienność

### Abstract

The author's reflections are not a review of Anna Bikont's *Cena* in the strict sense of this word. Instead, the author uses her book to reflect on the issues it raises. What does the proper name mean to the survivors? What is the survivors' escape from post-war Poland, not only from the historical, but also from the philosophical point of view? How should one understand the concept of gratitude to those who helped Jewish children during and after the war? What is the testimony's status? What is the connection between memory and imagination when we talk and write about the Holocaust?

### Key words

Holocaust, children, survival, escape, proper name, gratitude, memory, imagination, tribalism

1. Myślę o innych możliwych tytułach tej książki. Na przykład o słowie, które wypowie ucieczkę. Lęk, strach, rozpacz, przerażenie, panika. Uciec jak najdalej. Coś od strony egzystencjalnej, co by wyraziło ogrom jednostkowego doświadczenia otchłani. Lecz nie ono – tak bardzo domyślne i tak trudno wypowiedalne – jest najważniejsze. A już zwłaszcza w przypadku dzieci holokaustowych. Dla nas, późnych świadków, z pewnością empatycznie najistotniejsze, niepojęte jednak bez wniknięcia w zbiorowy, społeczny wymiar tamtych zdarzeń. Tym bardziej, im młodsze były tamte dzieci i im bardziej bezbronne.

„Cena” jest z tego punktu widzenia najtrafniejszym słowem i najlepszym tytułem. Czy wręcz najlepszym tytułem dla wielu książek o Holokauście. Cena, jaką trzeba zapłacić innym za własne życie. Cena – dolary, dobra, domy, wyjazd do Ameryki – która wyznacza wartość dziecka, czyniąca z niego towar do odsprzedania.

Cena, która staje się kategorią uniwersalną, synekdochą ludzkiej słabości lub ludzkiego *modus vivendi*. I jeszcze więcej, alegorycznym określeniem istnienia, definicją bytu: byt, to zapłata innym za to, by być. Określeniem dwuwektorowym: cena jest również tym, czego żądamy od innych, o co innych błagamy, byśmy my mogli żyć. Cena to my.

Cena to podstawowa kategoria ekonomicznego systemu, który zawiązał się od początku dziejów. Zerwać z ceną to zerwać z istnieniem materialnym, jedynym uchwytnym. Zerwać z ceną, czyli z kosztem własnego życia – myślę o najbardziej „sprawiedliwych” – oznacza gest gnostycki, przeciwko życiu w danej nam tu postaci. I gest buntu przeciwko własnej społeczności. Dlatego najczęściej pomoc nieśli odmieńcy i ryzykanci z natury.

Również cena, jaką dzieci płacą za dwukrotne oderwanie od matki, tej prawdziwej i tej nowej, przybranej. Albo cena, jaką płacą, gdy odkrywają swoją przeszłość. I cena, którą płacą za przeżycie, gdy wokół nich wciąż przypomina im się, że nie powinny przeżyć albo że ich życie jest wciąż skandalem albo ułomnością.

*Cena* to wreszcie łaćńska wieczerza, uczta. Zostało po uczcie złych bogów. Zostało do rozdrapania przez ludzi z tej ziemi, festyn odpadków.

2. Znam kilku uciekinierów z kryjówek czy z getta, już dorosłych w tamtej chwili. Przeżyli, ale nie ocalili, to znana reguła. Założyli po wojnie rodziny, lecz co z tego. Znam, i to słabo, tylko dwoje uratowanych wówczas dzieci. Nie wiem, czy ocalili. Anna Bikont szuka w swej świetnej książce odpowiedzi również na to pytanie.

Bo też przemożnie chce się wiedzieć, wiedzieć jak najwięcej, wszystko. Przeszłość w przeciwieństwie do przyszłości jest niewyczerpana, zawsze jeszcze coś – do odkrycia, do domysłu, do sprawdzenia, do wspomnienia. Zagłada i jej skutki to najpotężniejszy motor tej przeszłości, która nie chce odejść. Przyniosła jeszcze inne ukąszenie, ukąszenie holokaustowe. Chce się wiedzieć – znowu myślę o tytule – za wszelką cenę, bo jak bez tego żyć? To też jest cena, jaką się płaci własnym życiem tutaj, własną terażniejszością, która nie chce i nie umie być tylko terażniejsza; i zarazem cena, która tę terażniejszość kształtuje, naznacza (jakimś tam) sensem, niekiedy daje poczucie misji. Jak w przypadku tych, którzy dzisiaj w miasteczkach i wsiach nie wytrzymują – pisze Bikont – pustki powstałej po zniknięciu lokalnej społeczności żydowskiej i budują o niej pamięć.

Anna Bikont w swych dociekaniach jest wyjątkowo precyzyjna, wyjątkowo rozważna i odporna na złudzenia i pozory; dziesięć razy zważy fakt w ręce, zanim go poda jako prawdziwy, emocje trzyma na wodzy, nie ulega sentymentom. Żyda (katolickiego księdza), który płacze nad własnym losem, umie nazwać

narcyzem, podobnie jak innego ocalańca zakochanego we własnym ja. Ale ta wyjątkowa racjonalność skrywa – tak czuję albo tak na nią projektuję inne zachowania, w tym własne – irracjonalny pęd: żeby jeszcze. Żeby jeszcze puścić się jakimś śladem, choćby najwątleszym, żeby dotrzeć do kogoś, żywego czy martwego, żeby coś ukrytego odnaleźć i ruszyć dalej, kolejnym tropem. Można powiedzieć, że jest to etyczne, a z punktu widzenia historyka czy dziennikarza śledczego konieczne i ważne, lecz nie o etykę i powinność tylko chodzi. Raczej o narkotyczny bieg do tyłu, trans odrabiania straty, odzyskiwania imion. Zapuszczania się w kolejne, niespodziewane odnogi, które otwierają się, gdy podążamy wybranym śladem. Jak czyni Anna Bikont, kiedy „po drodze”, opisując losy takiego czy innego dziecka, dostrzega nieprzewidzianą i hipnotyczną możliwość pobocznego szlaku.

Próbuję wciąż od nowa wypowiedzieć, co stoi za tym powrotem w tamten czas. Raz jeszcze: jak najwięcej odratować dla pamięci, dla potomnych, dla porządku, dla sprawiedliwości i prawdy dziejowej, dla sumienia, dla poczucia obowiązku, dla wymienienia nazwiska każdego zamordowanego i poległego, dla zrozumienia losów ocalałych, wszystko prawda.

Jednakże i coś więcej, nie całkiem pojętego: własny odwrót w drugą stronę, w tył czasu, bajkowy i magiczny, gdyby usunąć z tych pojęć miłą czarowność i zastąpić ją śmiertelną i życiodajną zarazem obsesją. Przeżyć z nimi, z tamtymi ludźmi tę samą drogę, odegrać akt założycielski ich cierpienia, ukrycie się, skulenie w skrytce, uwięzienie, zamknięcie, transport, postawienie przed głębokim dołem, zagnanie do komory; dotrzeć do tego obrazu, gdy życie jeszcze trwa, gdy jeszcze nie padły strzały, gdy jeszcze nie został odkręcony zawór. Odgrywać to wciąż, jakby nic później nie nastąpiło.

I wciąż tę chwilę w sobie powtarzać, przyjmować od nowa jej nadchodzenie. Jeden z takich obrazów, który nie może zniknąć: lwowskie Piaski, drzewa, polana i cztery kobiety przed lufami karabinów. Za chwilę ktoś pociągnie za spust. Ale też zamrożenie tych obrazów w *slow motion*, powstrzymanie, by zmienić historię i pociągnąć ją inaczej. Szczególnie w przypadku ucieczek, gdy nasza wyobraźnia widzi dalsze możliwości dla uciekających. Prowadzić ich ucieczkę – bajecznie, magicznie – dalej, bez końca, bez ostatecznego końca. Każdy odnaleziony ślad, list, słowo, imię stają się substytutem zmartwychwstania. Praca w archiwach, poszukiwanie zapisków, przepytывanie ostatnich świadków, cała porządna praca dokumentacyjna to jedno, wyobraźnia pamiętająca (czy może pamięć wyobrażająca) to drugie.

3. W pewnym momencie książki autorka zauważa mimochodem, że w historiach holokaustowych – a ma za sobą ogromne, bardzo gruntowne doświadczenie śledcze – nic się nigdy nie zgadza. To jest ich zasada „filozoficzna”. Nie zgadza się z różnych powodów; każdy przeżywiec, każdy świadek pamięta to samo zdarzenie nieco inaczej, niejedni zważa na to, komu udziela świadectwa, dostosowuje się do oczekiwań wysłuchujących itd. Ale też istnieje jakaś głębsza

tajemnica tej „niezgodności”. Aporia nie do rozwikłania, raz ten sam człowiek umiera na tyfus w getcie, innym razem ginie w Bełżcu (autentycznie; tak usłyszałem z tych samych ust). Raz istnieją dwa odmienne świadectwa, innym razem dwa odmienne świadectwa wypowiada intymnie (nie dla sądu, nie dla prasy) jedna i ta sama osoba. Raz taktyka (komu co opowiedzieć), raz nagła eksplozja najgłębszej – chyba – prawdy, całkiem innej wobec tego, co zostało wypowiedziane wcześniej.

Chyba prawdy, bo nie ma żadnej gwarancji. Tak jakby sytuacja graniczna, bliskość śmierci wywoływały wir zdarzeń zaszytych i niezasytych, rozmnażały śmierć i jej okoliczności na różne sposoby. No bo jak pojąć relację córki o śmierci ojca na kilka różnych sposobów? Raz tyfus, raz gaz? I do każdego jest przekonana? I dodatkowo: jak działa pamięć dzieci, które doświadczają grozy, mając ledwie parę lat? Rysuje się sieć nieskończonych powiązań, realnych i mylnych, ale te mylne nie są fałszywe w tym sensie, że zawarte w nich informacje czerpią z rzeczywistości, która działa się wokół. Zmieniają fakty, lecz nie kłamią.

4. Nazwy się rozmnażają. Tyle tych miejsc, przysiółków, wsi, miasteczek, ulic. Lasów, rzek, rzeczulek. Geoświadków. Wszystkie tworzą mapę-labirynt, topografię pamięci, geopamięć. Ta mapa nakłada się na mapę rzeczywistości, dzisiejszą, kiedy przemierza się z otwartą pamięcią Polskę, obie prześwitują przez siebie.

Imiona się rozmnażają, i nawzajem zwalczają; jedno dziecko nosi ich tyle, żydowski stąd, polskie, raz takie, a raz inne, hebrajskie z Izraela, a każde z nich istnieje czy istniało w różnych nieraz brzmieniach. Czy można w ogóle mówić o powrocie do imienia pierwotnego? Czym stało się w ich przypadku imię pierwsze? Czy naprawdę jest założycielskie dla ich istnienia? Ale czy ktoś o wielu imionach może się w bycie zakorzenieć, skoro to pierwsze imię jest korzeniem; skoro bez imienia pływa się w powietrzu? Czy esencja – pierwsze imię – musi poprzedzać egzystencję, dalsze losy człowieka związane z kolejnymi imionami, mieć nad nimi wyższość? Aby nie stracił gruntu pod nogami?

Anna Bikont uważa – jak sądzę – że raczej tak, że warto docierać do pierwszego imienia, przywracać ocalałym początek. Przez bardzo długi czas też tak myślałem; niech rozprują się pozory, niech powróci autentyczność, niech tragiczna odyseja ma chociaż to jedno lepsze zakończenie, ten jeden prawdziwy powrót, to jedno odzyskanie straty. Można to nazwać rodzajem optymizmu poznawczego. Dzisiaj mam więcej wątpliwości. Bo przychodzi mi na myśl, że być może ta potrzeba esencjalizacji, docierania do fundamentu, jest bardziej nasza niż ich, ocalałych ofiar. I że to nam, odtwarzającym przeszłość, zależy na niej, gdyż wydaje się nam, że jest jedynym możliwym tryumfem nad tragedią, nad śmiercią. Ale to nasz tryumf. Niekoniecznie ich. Rekonstrukcja dziennikarsko-śledcza, niejako reporterska, dąży siłą rzeczy do odnalezienia punktu wyjścia, do ułożenia faktów. Z historycznego punktu widzenia jest to bezcenne, nadzwyczajne. Jednak może w zgłębianiu losów holokaustowych, w rekonstrukcji kolejnych imion warto byłoby sięgnąć również po refleksję filozoficzną. Co to znaczy

rozmnożenie imienia własnego, jakie są ontologiczne tego konsekwencje. Jeśli w ogóle wypada o tym myśleć. Nie wiem.

Nie wiem, gdyż trzeba by sięgać po kategorie niejako kanoniczne, podręcznikowe: Sartre'owski egzystencjalizm, Musilowskie rozważania nad zmysłem możliwości, Derridiańska sygnatura. Wypowiadać jednostkowe doświadczenia wedle apriorycznych pojęć. Jeśli już, to niech ocalańcy sami o tym mówią, jak Piotr Matywiecki, dziecko getta, w *Kamieniu granicznym*.

A może w takim razie język terapeutyczny? Anna Bikont zastanawia się w pewnej chwili, retorycznie, co ocalałym dzieciom przychodzi trudniej: zapominać czy przypominać sobie. Można by to wyrazić inaczej: zapominać równa się wyparciu, przypominać sobie równać by się miało odzyskiwaniu siebie, jak w długim procesie psychoanalitycznym. Niektórzy z ocalałych wspominają i przypominają sobie, nieraz z trudem, ale jednak, inni milkną na zawsze. Na ogół jest tak i tak; tamy postawione pamięci puszczają, lecz po chwili odrastają szczelnie; w ocalałych toczy się nieustanna dialektyka, porażająca dla empatycznych tego świadków gra w odkryte i zasłonięte. Nie bardzo chce się wierzyć, że proces analityczny by mógł pomóc, by mógł się kiedykolwiek skończyć, by ci, którzy widzieli, jak mordują ich rodziców, ci, którzy zimą spali na ziemi, przykrywając się liśćmi, ci, którzy pozostawali bez ruchu w ciemnej skrytce metr na metr, mogli kiedykolwiek z tej dialektyki wyczołgać się na światło. Chciałoby się rzucić, że pewnych rzeczy Freud nie przewidział. Także w tym sensie, że można mieć do czynienia z dwiema zagładami naraz: własnej rodziny i własnego narodu. I że nie ma tu jednej traumy do analizy, lecz traumy dwie i że ta druga, dotycząca zbiorowości, też jest uwewnętrzniona.

5. Wersje się rozmnażają. W jaki sposób ktoś uciekł, jak ta dziewczynka, jak tamten chłopiec dostali się do gospodarstwa, kto, kiedy. Niewiarygodne rozbieżności, wzmocnione jeszcze o nieraz nadgorliwe świadectwa dla Yad Vashem, kiedy zaczynają się starania o tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Wszystko spowite we mgle, trzeba się domyślać. Ale domyślać się może ten, kto prawdziwie wniknął w tamtą przestrzeń, kto przemierzył tamte wsie, rozmariał tam, przebywał. Anna Bikont rozpoznała to od środka, wie, co było możliwe, co prawdopodobne, a co jest wykluczone; ma za sobą, jeśli wolno tak powiedzieć, trening w tamtych miejscach, szczególną wiedzę i intuicję, porusza się po terenie radykalnie obcym i radykalnie swoim zarazem, jest nadzwyczajną przewodniczką po stracie i po ocaleniu. Trudno o tym mówić, ale ma też doświadczenie indagowania: wie, w jaki sposób pytać, pytać cwanie. Rozpoznała typowość zachowań; rozmowy zaczyna jak lekarz, który przeniknął psychikę ocalonych, typowe mechanizmy psychologiczne i poznał sposoby docierania do sedna. To też jest uderzające: czymś innym jest „filozoficzne” mówienie o ocalałych, do którego mnie ciągnie, i czymś całkowicie innym jest wnikanie „w terenie”. Książka Anny Bikont pokazuje, co to znaczy – w najlepszym sensie słowa – wyspecjalizować się w obcowaniu z Holocaustem.

6. Jakiś czas temu w Sadownem, kilkanaście kilometrów od Treblinki, premier Morawiecki odsłonił tablicę ku pamięci piekarza rozstrzelanego przez Niemców za dostarczenie chleba ukrywającym się. Mieszkaniec Sadownego pokazywał mi z dumą zdjęcia z uroczystości, no proszę spojrzeć, sprawiedliwości stało się zadość, czego tu każą nam się wstydić. Pozostało zapytać: a skąd Niemcy wiedzieli, że piekarz karmił Żydów?

Anna Bikont z pewnością wielokrotnie przeżyła podobne sytuacje. Sam nigdy nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Sądziłem, że pomoc może – jakkolwiek to szalenie czy głupio brzmi – podział na podejście „literackie” i „historyczne”. Temu pierwszemu przewodzi poetyczna albo historyczna (w pewnym sensie) myśl, że wystarczy jeden sprawiedliwy, by zbawić cały naród. Zapach tego chleba z Sadownego pokrywa cały świat. Jest dotkliwszy i ważniejszy niż cała reszta. Podejście „historyczne”, w istocie jedyne możliwe, podaje liczby, przytacza i omawia tysiące przykładów (udzielonej pomocy, lecz częściej donosów, szantażów, zabójstw), wskazuje, jakie zachowania dominowały; pokazuje, że Jedwabne to jedynie czubek góry lodowej.

Każda cząstkowa opowieść o Holokauście, jak choćby i ta książka o ocalałych dzieciach, staje się całościową opowieścią o Holokauście. Nie tylko dlatego, że w cząstkach odbija się całość; że przypadek jednej osoby, choćby najbardziej indywidualny, jest typowy i mówi o wszystkim, że różnice między poszczególnymi przypadkami są mniejsze niż wypadałoby sądzić. Również dlatego, że przy okazji pojedynczych, indywidualnych historii powracają pytania ogólne, wielkie okołoholokaustowe aporie. Na przykład pytanie o wdzięczność.

„Wdzięczność – to dopiero temat”, pisze autorka. Poznałem Dawida, który uciekł z obozu pracy w towarzystwie kolegi. Dawid jeździł jako świadek na procesy w Niemczech, lecz nigdy nie przyjął od Niemców „odszkodowania” pieniężnego; za każdym razem odmawiał. Po ucieczce przez parę miesięcy tułali się w dwójkę po mieście, w nocy włamywali się do piwnic. Wreszcie, wycieńczeni, znaleźli schronienie u młodej kobiety i u niej dotrwali – przez blisko rok – do końca wojny. Zakochana w koledze Dawida, chciała wyjść za niego za mąż. Odmówił, wyjechał. Dawid nigdy mu tego nie wybaczył i zerwał z nim kontakt. Kobieta dostała medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

W książce Anny Bikot osoba, która jako dziecko ukrywała się w klasztorze, mówi: „To nie Żydzi, którzy przeżyli, mają dług moralny wobec świata i wobec tych, którzy im pomagali”. Taki osąd jest rzadkością; raczej wdzięczność za wszelką cenę (jak to rozumiał Dawid) niż jej zaniechanie. Dawid rozumował w kategoriach etycznych, Irena Kisielewska z książki Bikont w kategoriach bardziej ontologicznych: prawo bytu zostało zakłócone. Prawo sumienia *versus* prawo bytu. Skoro prawo bytu zostało zakłócone, zaprzeczone, to nie ma powodów, by od bytu czegoś wymagać. Gdyby przyjąć te argumenty, rozmowa o Holokauście na ziemiach polskich przybrałaby nieco inną postać. Annę Bikont przytoczone przez nią słowa Ireny Kisielewskiej fascynują, to znaczy pociągają, lecz pozostawiają całą sytuację wieloznaczną, nie do rozstrzygnięcia.

Może słowo „wdzięczność” jest zbyt mało pojemne i trzeba by stworzyć jego wersję wyższą, wskazującą na hiper wdzięczność, nadwdzięczność. W końcu Ukraińcy, których polskie rodziny gościły i niekiedy goszczą nadal u siebie, też czują wdzięczność. No ale jak porównywać tamtą chwilę niesienia pomocy z obecną? Jak porównać tamtą ciemną chwilę z dzisiejszą komfortową? A przecież za udzielenie gościny wyjeżdżającym z Ukrainy też bierzemy pieniądze (od Państwa) na pokrycie wydatków. I też zdarza się, że rodziny ukraińskie zostają wyrzucone, gdy środki nie są wypłacane.

W tamtych powojennych czasach – jak widać to także i z tej książki – wdzięczność okazywana przez ocalałych wedle naszych dzisiejszych miar byłaby często na wyrost. No bo jednak nie było aż tak pięknie, bo zdarzało się okrutne traktowanie, bo wyrzucanie, bo wykorzystywanie nieraz skrajne, bo żądania materialne (złoto, pieniądze) większe niż się podaje itd. Bezpieniężnej pomocy albo pomocy takiej, która wykorzystywała kwoty tylko konieczne do utrzymania, statystycznie nie było wiele. Albo prawdziwego przywiązania do sierot, prawdziwej miłości, choć i tak się zdarzało. Ze statystykami się nie wygra. Nie wygra się z ponad czterdziestką ocalałych dzieci (i porażającymi liczbami dorosłych) zabitych po wojnie. Ale serce niezmiennie się kraje przy każdym gratisowym czy niewyrachowanym goście wsparcia i wtedy „literatura” we mnie wygrywa.

7. Ile żydowskości w ocalałych dzieciach da się wytrzymać? Czy nowym rodzicom udaje się o żydowskości przygarniętych zapomnieć? Bo raczej chcą zapomnieć, tylko nielicznym ich pochodzenie nie przeszkadza; zapomnieć często im się udaje. Prowadzą w sobie walkę żydowskości z dziecięcością: czasami dziecko w dziecku staje się ważniejsze niż jego pochodzenie. To jest też pytanie ogólne, ile żydowskości po dziś dzień w Polsce da się wytrzymać, jaka jest jej dopuszczalna ładowność w człowieku? W którym momencie w Żydzie naprzeciw dostrzega się Żyda, do którego momentu się o tym „zapomina”?

Po wojnie ładowność była bliska zeru. Żydowskie dzieci w polskich szkołach czy sierocińcach dowiadywały się o tym od razu. I kolejne pokolenie, urodzone już po wojnie, również. Część winy można przypisać naturalnemu, choć w miarę płytko zakorzenionemu okrucieństwu dzieci, zwłaszcza gdy łączą się w grupy i szukają obiektu agresji. Reszta wynika z międzypokoleniowego przekazu. Antysemityzm w Polsce zniknie, gdy przyszłe dzieci nie będą znały słowa „żydek”.

Opisy powojennych szykan, które powracają w książce Bikont, nie przestają przerażać. Tych znanych, jak zbrojne ataki na żydowskie sierocińce w Rabce i Zakopanem, i tych doświadczonych przez dzieci pojedynczo, w klasie, na ulicy, na podwórku. Widać po nich doskonale, czym jest plemienność, która dzisiaj, w innych rejestrach, trzęsie krajem. W innych, lecz nie do końca. Przedziwnym, tragicznie śmiesznym obrotem historii, obecnie przeciwieństwem prawdziwego Polaka staje się Niemiec i Żyd zarazem; dla elity władzy oficjalnie Niemiec, dla mas tradycyjnie Żyd teraz zmieszany z Niemcem, żydoniemiec, niemcożyd. Oto na kogo nie należy głosować. Oto kto nie będzie głosował na nas.

Ale też nie należy zapominać o miniplemienności w społeczności żydowskiej po wojnie: rywalizacja – w chwilę po Zagładzie – w odzyskiwaniu dzieci przez trzy obozy, mówiąc w skrócie asymilacyjny, syjonistyczny i religijny, jest trudna do pojęcia i już zwiastuje konflikty w przyszłym Izraelu.

Wojna przynosi najstraszniejsze skutki i wojny jakby nie było. Każda wojna zdarza się i nie zdarza zarazem.

8. Historia sierot, półsierot, dzieci porzuconych, oddanych, porwanych to skryty, lecz istotny fragment dziejów. I ma kolejną przyszłość: choćby tysiące dzieci ukraińskich wywiezionych do Rosji. Nowe imiona, nowe ucieczki. Zmyślność i mimikra dzieci holokaustowych to uciekających, to dostosowujących się do otoczenia, do wymogów chwili, opowiedziane przez Bikont są porażające; dorosłość przeniesiona w istoty ledwie od paru lat bytujące na ziemi przynosi nową wiedzę o człowieku. Co może rozumieć dziecko, kiedy zaczyna rozumieć, kiedy już wie, jak ma się zachowywać, żeby przeżyć, żeby rodzina przeżyła? Jak szybki staje się w dzieciach – poza wszelkimi prawami psychologicznymi – proces zrozumienia? W podręcznikach psychologicznych i pedagogicznych takich pytań nie znajdziemy.

Nie przestaje mnie niepokoić i urzekać nazwa organizacji, która powstała w 1944 r. na oswobodzonych ziemiach wschodnich i stawiała sobie za cel pomóc ocalałym Żydom w wyjeździe z Polski – Bricha, „Ucieczka”. Ucieczka jako ciąg dalszy ucieczek podczas wojny, ucieczka, która podaje rękę ucieczce, ucieczka jako najważniejsza sprawa istnienia. Jego elementarne prawo. Ucieczka, która staje się na tyle podstawowym i trwałym zachowaniem, że przemienia się w fundament istnienia. Jestem, bo uciekam. Nazwać organizację „Ucieczką”! „Ucieczka jest wyzdrowieniem”, „samym ruchem życia” (Wiktor Hugo, *Nędznicy*).

9. „Moje młode pachole, gdzie ty to wędrujesz?  
Czy z Ziemi Świętej wracasz, że tak utyskujesz?”  
„Oh! Nie – ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny –  
I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny –  
I świata jadłem gorsze, zatrute kołaczki –  
To mnie ciężko na sercu i ja sobie płaczę.  
A kiedy się roześmieję – to jak za pokutę;  
A kiedy będę śpiewał – to na smutną nutę;  
Bo w mej zwiędłej twarzy zamieszkała bladeść.  
Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość.  
Bo wpływ mego Anioła grób w blasku zobaczy”.  
„To czegoż chcesz, pachole?” – „Uciec od Rozpaczy”.

(Antoni Malczewski, *Maria*)